

„Pewnego razu... w Hollywood”, czyli kino wygrywa ze śmiercią — Quentin

**Od autora:** Szanowni portalowicze.

Tekst, który przyjdzie wam czytać, nie jest sensu stricto recenzją. Potraktujcie to jako ostrzeżenie, gdyż w żadnej porządnej recenzji nie powinny znaleźć się tzw. spoilery, czyli informacje zdradzające zakończenie filmu lub takie szczegóły fabuły, których uprzednie poznanie, może znacząco ograniczyć przyjemność płynącą z seansu. Tekst zawiera lub może zawierać elementy recenzji, jednak lwią część treści wypełniają osobiste przemyślenia i odczucia autora. Zatem jeśli wszystko między nami jasne, zapraszam do lektury i dzielenia się własnymi opiniami w komentarzach.

---

Opowiem wam pewną historię. Usiądźcie wygodnie, zajmę wam tylko chwilę, gdyż ukazę wycinek czegoś, o czym mógłbym rozprawić godzinami. Będzie to historia mojej pierwszej wielkiej miłości. Miłości do kina klasy B Quentina Tarantino.

Jako nastolatek obejrzałem „Kill Billa” i w mig pojąłem, że gość, który tworzy tak odjechane filmy, stanie się moim bohaterem na wieczność. Nie pomyliłem się ani trochę. Podczas seansu „Wściekłych psów” i „Pulp Fiction” miałem wypieki na twarzy. Właśnie wtedy sztuka filmowa uwiodła mnie na całego.

To tyle mojej historii, ale jak już wymościliście sobie miejsce, wykorzystajmy chwilę i pozwólcie, że opowiem zdecydowanie dłuższą historię. Historię, która co prawda nie wydarzyła się naprawdę, ale i tak dla nas, kinomanów, znaczy bardzo wiele.

Przedstawiam dwóch bohaterów prosto z fabryki snów: Rick Dalton i Cliff Booth.

Rick to przystojny (bo jakby mogło być inaczej) aktor, któremu wiedzie się całkiem nieźle. Grywa w popularnych serialach telewizyjnych, o mały włos a wygryzłby Steve’a McQueena z „Wielkiej ucieczki”, a do tego mieszka w najbardziej „filmowej” dzielnicy Los Angeles, mając za sąsiada Romana Polańskiego. Dziś pewnie nie wszyscy ucieszyliby się, gdyby przyszło im mieszkać w pobliżu wyklętego twórcy, ale pod koniec lat sześćdziesiątych, gdzie przenosi nas akcja filmu, Polański miał status wielkiej gwiazdy. O rozmiarach popularności reżysera „Dziecka Rosemary” najlepiej świadczy fakt, że to właśnie między innymi z powodu medialności stał się celem morderczego ataku Rodziny Charlesa Mansona. O tym jednak później.

Rickowi towarzyszy jego kumpel Cliff. Cliff Booth para się głównie kaskaderką, choć z braku lepszych perspektyw wejdzie też za Ricka na dach, aby unieruchomić obluzowaną antenę, a jeśli sytuacja tego wymaga, a zwykle wymaga, przejmie rolę osobistego szofera Daltona.

To, co łączy obydwu panów, prócz szczerzej przyjaźni, rzecz jasna, to zamiłowanie do filmów, ale też i pewien smutek płynący z obecności w branży rozrywkowej. Bo kino wciąż się zmienia, za nic mając sentymenty.

Kiedy uznany producent nazwiskiem Schwarz uświadamia Rickowi, że jego czas w branży przemija, aktor nie potrafi się z tym pogodzić. Idea grania w Europie we włoskich westernach brzmi jak wyrok śmierci i trzeba przyznać, że termin „włoski western” nie budzi dobrych skojarzeń.

Cliff z kolei, głównie ze względu na burzliwą przeszłość gościa, który skopał tyłek samego Bruce’a Lee, a także za sprawą łatki domniemanego żonobójcy, od dłuższego czasu zjeżdża po równi pochyłej. Dla

niego nie stanowi wielkiej różnicy, gdzie i co będzie robił.

O perypetiach duetu Dalton&Booth mógłbym opowiadać jeszcze długo, a i tak nie zrobiłbym tego lepiej od mistrza.

„Pewnego razu... w Hollywood” to ponad dwie i pół godziny typowej tarantinowskiej gawędy. Już sam tytuł, adaptowany przez Tarantino przy wielu różnych projektach, zakłada, że mamy do czynienia z czymś w rodzaju legendy o starych dobrych czasach, o ludziach, o filmach. To oczko, które autor puszcza do widzów, abyśmy wzięli pod uwagę, że przedstawiane wydarzenia nie muszą wiernie odtwarzać historycznych faktów z życia ludzi, o których będzie ta opowieść.

Tarantino mocno czerpie z tradycji i historii Hollywood. Na ekranie znajdziemy między innymi Polańskiego, Sharon Tate, Steve’a McQueena czy Bruce’a Lee. Trudno ocenić wiarygodność owych postaci, gdyż Polański praktycznie nic nie mówi (w całym filmie możemy usłyszeć dokładnie tylko jedno zdanie wypowiedane przez Rafała Zawieruchę, gdy ten każe spierdalać psu), Tate, wykreowana przez Margot Robbie, wydaje się wyjątkowo cukierkowa i przez to przerysowana, a spadkobiercy Bruce’a Lee poczuli się dotknięci tym, że Tarantino przedstawił słynnego aktora jako aroganta, buca i chwalipiętę. W sprawie Lee, sam reżyser tłumaczył, że opierał się na opiniach ludzi z branży pamiętających dokładnie minioną epokę. Cóż, takie prawo twórcy, a Tarantino zawsze tworzył wybitnie autorskie kino. Fakt, że czerpał garściami z popkultury, stanowił i wciąż stanowi jedynie pretekst do opowiadania własnych historii. Jedni za to go pokochali, inni nie.

„Pewnego razu... w Hollywood” to hołd złożony X muzie sztuki i właśnie dlatego nikt z aktorek i aktorów, reżyserów i reżyserek nie powinien poczuć się doceniony ani pominięty. Moim zdaniem to najpiękniejsza laurka, jaką genialny wielbiciel kina może wystawić obiektowi swoich westchnień. Wielu aktorów pracujących na planie u Tarantino wspominało, że reżyser wymaga od wszystkich wygłoszenia chórem deklaracji w stylu „jesteśmy tu, bo kochamy filmy!”. Pewnie nie wszystkim na planie to pasuje, ale Quentin Tarantino dałby się dla kina pochłastać – najlepiej samurajską kataną.

Oprócz studiów filmowych (bo „Pewnego razu...” to także, a może przede wszystkim film w filmie), najbardziej znanych miejscówek LA, klimatycznych kin i barów, opowieść zaprowadzi nas także na legendarne rancho Spahna. I tu warto się na moment zatrzymać, gdyż owo rancho, które swego czasu pełniło rolę studia pod chmurką dla wielu westernów (między innymi nakręcono tam kilka odcinków „Bonanzy”), dla filmu Tarantino ma znaczenie symboliczne. Po pierwsze pod koniec lat sześćdziesiątych nie kręcono już tam filmów, a stary i niewidomy właściciel (aha, Spahn) trzymał na nim konie, które wypożyczał turystom. Po drugie w czasie, gdy toczy się akcja „Pewnego razu... w Hollywood”, na rancho przebywała grupa oszołomów pod przewodnictwem niejakiego Charlesa Mansona.

Kariera Ricka Daltona przypomina trochę rancho Spahna. Niewiele pozostało z dawnego blasku, właściwie tylko legenda. W ogóle końcówka lat sześćdziesiątych dla kina amerykańskiego jest wyjątkowa. Stany znajdują się w przededniu kontrkultury hipisów, których Rick lży, ilekroć tylko ci pojawią się w polu jego widzenia, w Wietnamie wciąż trwa wojna, a to, czego lada moment dokonać ma Rodzina Manson, naznaczy całe Hollywood piętnem strachu. Tarantino zdaje się jednak na to nie zważać i z całych sił zaklina rzeczywistość, przynajmniej tę filmową. On już wie, że na końcu musi zwyciężyć dobro, aby happy end miał rację bytu. Do zakończenia jednak wrócimy.

Nie sposób nie zachwycić się aktorskim popisem. Dalton&Booth to superduet. Pierwszy w wykonaniu Leo DiCaprio ma całkiem spore ego, a swoją karierę traktuje śmiertelnie poważnie. Kiedy wyłoży się na

czymś podczas sceny (zapomni tekstu), wpada w furję. Łatwo się też rozkleja, co momentami wygląda zabawnie. Brad Pitt jako kaskader Cliff to twardziel. Raczej małowówny i wyluzowany, nie taki, co pręży muskuły przed potencjalnym rywalem, ale też nie taki, co ucieka przed kimkolwiek. Co ciekawe obie kreacje dostarczają sporo śmiechu, choć w różny sposób.

Pitt za swój udział w „Pewnego razu... w Hollywood” otrzymał Oscara za rolę drugoplanową. DiCaprio jak zwykle uhonorowano samą nominacją, chociaż to, czego Joaquin Phoenix dokonał w „Jokerze”, trudno było przebić. Tak czy inaczej Leo miał dużo więcej roboty na planie przy odgrywaniu roli w filmie wewnątrz filmu. Wiecie, co mam na myśli. I zrobił swoje tak, że ręce same składają się do oklasków, czyniąc przy tym kilka scen perełkami.

Gra pozostałych aktorów stanowi raczej dobre i ciekawe tło dla pierwszego planu. Robbie, jak już wspominałem, sprawia wrażenie postaci przerysowanej. Można nawet odnieść wrażenie, że gra ładną, uroczą i głupiutką blondynkę. Prawdopodobnie było to zamierzonym efektem reżyserskiej wizji.

Swego czasu w polskiej telewizji śniadaniowej Rafał Zawierucha był stałym bywalcem. Trudno się dziwić, wszak angaż w filmie Tarantino nie trafia się zawsze i nie każdemu. O ile rolę Robbie można nazwać tłem dla postaci pierwszoplanowych, o tyle wykon Zawieruchy określić należy tłem dla Robbie. Serio, polskiego aktora co najwyżej widzimy na ekranie, jak przemyka z lewej do prawej i to tyle. Żaden powód do zachwytu, ale w mediach nie z takich „osiągnięć” robiono sensacje. Szkoda tylko, że mało kto wspomina zasługi innego Polaka, który w latach dziewięćdziesiątych stanął za kamerą prawdopodobnie najgłośniejszych filmów Quentina Tarantino („Wściekle psy” i „Pulp Fiction”). Dla tych, którzy nie znają, praca domowa – sprawdzić filmografię Andrzeja Sekuły.

Jeszcze jedna postać, o której warto wspomnieć z dwóch powodów. Damon Herriman (raczej trudny do skojarzenia z czymkolwiek aktor) w „Pewnego razu... w Hollywood” wciela się w postać Charlesa Mansona. W swoim obrazie Tarantino poświęca mu mniej więcej tyle samo uwagi, co Polańskiemu (no, może odrobinę więcej), jednak ekranowy czas tej konkretnej postaci nie ma żadnego znaczenia, gdyż Manson odegra swoją rolę niejako spoza sceny. To jedno.

Drugie jest raczej ciekawostką. Jeśli z jakiegoś powodu intryguje was postać Charlesa Mansona, powinniście obejrzeć drugi sezon „Mindhunter”. W serialu znajdziecie świetną scenę przesłuchania wodza Rodziny. W rolę sekciarza wciela się tam brawurowo... Damon Herriman.

Dla Tarantino wymieszanie ze sobą fikcji z rzeczywistością najwięcej znaczenia nabiera w ostatnim akcie opowieści. Wspominałem o zaklinaniu rzeczywistości przez reżysera, no to właśnie nadeszła pora na krótki rys historyczny.

Charles Manson, jak przystało na charyzmatycznego przywódcę sekty, prał mózgi swoich wiernych tak długo, aż ci uwierzyli w Armagedon.

Nocą z 8 na 9 sierpnia 1969 kilkoro uczniów Mansona zakradło się do willi Polańskiego przy Cielo Drive, aby dokonać masakry, która miała być dawno wyczekiwany początkiem ogólnoswiatowej rewolty. Sekciarze zamordowali wówczas 5 osób, w tym Sharon Tate. Właściwie ofiar było 6, gdyż żona Romana Polańskiego lada moment miała urodzić syna.

Życie napisało wyjątkowo okropny scenariusz. Zbrodnia, która przeszła do historii jako akt niewyobraźalnego terroru, do dziś odbija się głośnym echem w kulturze popularnej. Rozumiem całkowicie

stanowisko Emmanuelle Seigner, obecnej żony Polańskiego, która jeszcze przed premierą filmu skrytykowała Tarantino za żerowanie na osobistej tragedii jej męża. Sęk w tym, że nim „Pewnego razu... w Hollywood” w ogóle nabrało kształtu pełnometrażowej fabuły, popkultura zdążyła już wykreować legendę Mansona, który po osadzeniu w więzieniu tworzył własną muzykę.

Świat muzyki sporo uczynił, aby świadomie lub nie (nie czuję się upoważniony, aby to ocenić) zachować pamięć o przywódcy Rodziny. Marylin Manson jest tego mocnym przykładem, ale nie tylko on. Znany z pewnością w niektórych kręgach melomanów, grający alternatywny rock Kasabian swoją nazwę zaczerpnął po części z popularnego nazwiska pochodzenia armeńskiego (Quasab w znaczeniu rzeźnik), a po części od nazwiska Lindy Kasabian, jednej z wiernych sekty Mansona, która podczas masakry na Cielo Drive stała na czatach.

Jak zatem w filmie rozegrano motyw słynnej masakry? Lepiej usiądźcie, a jeśli lubicie nieoczywiste zakończenia i nie chcecie sobie psuć zabawy przed seansem, przestańcie czytać.

Po powrocie z Europy Cliff spędza czas przy Cielo Drive w domu Ricka. Kaskader popała blanta nasączonego kwasem (LSD), gdy nagle do domu zakrada się grupa uzbrojonych hipisów, których widział już wcześniej przy okazji wizyty na rancho Spahna. Gość, który mierzy do Cliffa z rewolweru, przedstawia się jako sam diabeł, po czym zaczyna się jatka.

Cliff wraz Francescą (żoną Ricka) i ze swoim wyszkolonym psem rozprawia się z napastnikami, podczas gdy Dalton, nieświadomy zagrożenia, przygotowuje się na basenie do kolejnego dnia zdjęciowego.

Przemoc została ukazana na ekranie w sposób wybitnie tarantinowski, jaki znamy z „Kill Billa”, „Django” czy „Bękartów wojny”. Oprawiający z uporem maniaka filmowych złoli Cliff dokonuje spustoszenia, jakiego nie powstydziliby się pełnoprawny slasher. Ostatnim aktem ultraprzemocowego show jest użyty przez Ricka miotacz ognia.

Tak, wiem, jak niedorzecznie to wszystko brzmi. Na ekranie wypada natomiast komicznie. Nie boję ani trochę określić tego czegoś jako jednej z najbardziej spektakularnych rozwałek w dziejach kina. Musicie to zobaczyć.

Makabryczny happy end, jaki serwuje nam Tarantino, wybrzmiewa zwycięskimi fanfarami. Oto sztuka ujarzmiła śmierć. Do zbrodni wcale nie dochodzi, Rick żartuje sobie z Cliffem, którego pogotowie odwozi do szpitala. Później Rick rozmawia jeszcze z przyjacielem Sharon Tate o zajściu. Po wszystkim Cielo Drive pójdzie pewnie spokojnie spać, a o świcie znowu wszędzie słońce.

Od oficjalnego reżyserskiego debiutu Tarantino minęło ponad trzydzieści lat. Przez ten czas QT dał się poznać jako fanatyk kina i niepoprawny marzyciel. W finale „Pulp Fiction” Jules i Vincent wychodzą spokojnie z baru, choć z jednego z wcześniejszych rozdziałów opowieści dowiadujemy się, że Vincent został zastrzelony przez Butcha. „Bękarty wojny” ukazują alternatywną historię, w której naziści z Hitlerem na czele giną w misternie przygotowanej zasadzce. Czarna Mamba dokonuje srogiej zemsty na Billu i na całym Plutonie Śmiercionośnych Żmij, zaś w „Grindhouse: Death Proof” grupa kobiet rzuca wyzwanie psychopacie, którego narzędziem zbrodni jest samochód.

Tarantino zapowiedział, że jego dziesiąty pełnometrażowy film będzie zarazem ostatnim. Póki co o „The Movie Critic” (bo tak ma być zatytułowany obraz) wiemy niewiele. Większość informacji, jakie podaje nam medialna pulpa, stanowią raczej domniemane plotki. Nie warto więc dawać im wiary. Pewnym

można być natomiast jednego: warto czekać, choćby trwało to wiecznie.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

---

Quentin, dodano 29.08.2023 12:11

Dokument został wygenerowany przez [www.portal-pisarski.pl](http://www.portal-pisarski.pl).